



Planeta Bajek

Rozdział 1. Pusta półka

Marta i Romek siedzieli na łózkach w swoim pokoju. Byli już po wieczornym kąpaniu i myciu zębów. Teraz, przebrani w piżamy, czekali na Mamę, bo zawsze przed snem czytała im bajki.

– Ciekawe jaką bajkę przeczyta nam dzisiaj Mama – zastanawiała się Marta. Dziewczynka miała ciemne włosy związane w zabawne warkoczyki, podskakujące niczym sprężynki na wszystkie strony. Puciołowata, piegowata buzia i piwne oczy dopełniały fizjonomię Marty.

– Może o smokach i rycerzach – odezwał się Romek. Był starszy od siostry o dwa lata, bardzo do niej podobny, tyle, że wyższy i szczuplejszy. Rzecz jasna nie miał warkoczków. No i był chłopakiem, a wiadomo, że chłopaki wolą bajki o rycerzach i smokach.

– Eeee, wolę o śpiącej królowie – powiedziała Marta. – O rycerzach już było.

– O królowie też było, może będzie coś nowego – odparł Romek i wtedy do pokoju weszła Mama.

– Mamo, poczytaj nam jakąś nową bajkę! – poprosiły chórem dzieci.

– Byłam dziś w bibliotece i chciałam wypożyczyć wam nowe bajki ale pani bibliotekarka powiedziała, że już od dawna nie ma żadnych nowości. Odwiedziłam też księgarnię ale tam też mi powiedziano, że nie wydano żadnych, nowych bajek.

– Jak to, nie ma nowych bajek? – zdumiały się dzieci.

– Też mnie to zdziwiło ale co zrobić, poczytamy dzisiaj jakąś bajkę, którą już znacie.

– Ech, szkoda... Ale lepsza stara bajka niż żadna – odpowiedział rezolutnie Romek.

– No dobrze, to dziś wam przeczytam... – Mama spojrzała na półkę, gdzie stały książki i urwała.

Dzieci podążyły za wzrokiem Mamy i otworzyły szeroko oczy. Półka, która jeszcze wczoraj ugiwała się od książek, była zupełnie pusta.

– Co to ma znaczyć, gdzie podziały się książki? – zapytała podejrzliwie Mama.

– Ja nie wiem! – krzyknął Romek.

– Ja też nie wiem! – zawtórowała mu Marta.

Zaczęli szukać po całym pokoju, pod stolikiem, w szafach i pod łóżkiem ale nie znaleźli ani jednej książki. Przeszukali więc całe mieszkanie ale też nie znaleźli ani jednej. Książki z bajkami zniknęły.

Rozdział 2. Wizyta u wujka Astronoma

Następnego dnia, popołudniu, Mama zawiozła dzieci na wieś do wujka Astronoma. Miały u niego spędzić ostatnie dwa tygodnie wakacji. Wujek Astronom miał bardzo duży dom, zupełnie inny od zwyczajnych domów. Niczym olbrzymi komin z dachu wyrastała wysoka wieża, a szczyt tej wieży zakończony był kopułą. Wujek siedział na szczycie wieży przez całe noce i obserwował przez wielki teleskop planety, gwiazdy i odległe galaktyki. Wszyscy uważali go za dziwaka ale Marta i Romek go uwielbiali bo ciekawie opowiadał o kosmosie i pozwalał oglądać przez teleskop te wszystkie cuda na niebie. Żona wujka Astronoma – ciocia Leosia, nie podzielała jego pasji i trochę się złościła, gdy wujek wymykał się do obserwatorium.

– Dzień dobry wujku, dzień dobry ciociu! – przywitały się grzecznie dzieci, gdy wysiadły z samochodu.

– Cześć dzieciaki! – Wujek przybił z każdym piątką. – Megaodkrycie, mówię wam – szepnął tajemniczo.

– Ech, ten tylko o jednym – skrzywiła się ciocia Leosia. – Chodźcie na herbatę i ciasto.

Sernik ciotki Leokadii był najlepszy na świecie, wiedziały o tym doskonale Marta i Romek, toteż dwa razy zaproszenia nie trzeba było powtarzać. Wkrótce siedzieli na tarasie i pałaszowali kolejne kawałki popijając herbatą.

Wujek Astronom kręcił się niespokojnie, bo zbliżał się wieczór. Mrugał porozumiewawczo do Romka i Marty a ci rozumieli doskonale, że chciał się jak najszybciej znaleźć w obserwatorium.

– Ciociu, możemy dziś z wujkiem pooglądać gwiazdy? – zapytał ostrożnie Romek.

– A pewnie, oglądajcie sobie, tylko nie przez całą noc, musicie się przecież wyspać – odpowiedziała dobrodusznie ciotka Leokadia.

– Super, to ja pójdę przygotować teleskop – ucieszył się wujek i czmychnął czym prędzej do wieży.

– No jasne, nawet sernika nie dokończył – rozeźliła się ciotka.

Dzieci, powstrzymując się od śmiechu, podążyły za wujkiem. Schody do kopuły były wąskie i kręte, przypominały dzieciom ich wakacje nad morzem, gdzie wspinały się na latarnie morskie. Po kilku minutach, sapiąc ze zmęczenia, znaleźli się na szczycie.

– Megaodkrycie, mówię wam! – krzyknął wuj, gdy ich zobaczył.

Kręcił właśnie sporą korbą a to kręcenie powodowało, że kopuła nad nimi powoli się otwierała. Po kilku chwilach czerniało nad nimi rozgwieżdżone niebo w które wycelowana była potężna tuba teleskopu.

– Co to za odkrycie, wujku?

– Pamiętacie tę kolorową planetę którą wam kiedyś pokazywałem?

Dzieci pamiętały doskonale. Wuj Astronom pokazywał im ją w ubiegłe wakacje. Mieniła się wszystkimi kolorami tęczy: złotem, zielenią, czerwienią, pomarańczą i błękitem. Marcie zdawało się nawet, że widzi na niej jakieś ruchliwe mróweczki ale Romek stwierdził wtedy, że chyba jej się coś przewidziało.

– No więc popatrzcie na nią teraz.

Romek chciał od razu przytknąć oko do okularu ale wujek go powstrzymał.

– Pierwszeństwo mają damy – powiedział, czym zawstydził nieco chłopca.

W okular zajrzała więc najpierw Marta. Patrzyła przez chwilę, starając się nie mrugać okiem.

– To nie jest ta planeta wujku – powiedziała.

– Pokaż, pokaż! – zniecierpliwiony Romek dopchał się do teleskopu i spojrzał uważnie. – Faktycznie, to nie ta kolorowa, to jakaś inna, ledwie ją widać.

– Właśnie, właśnie – sapnął podekscytowany Astronom. – Niby nie ta sama a jednak ta sama. Bo to jest ta sama planeta ale jednak inna.

– Nic z tego nie rozumiem – obruszyła się Marta. – To w końcu jak to jest z tą planetą? Jeśli to ta sama, to dlaczego już nie jest tak kolorowa jak przedtem?

– I to jest zagadka! – krzyknął wuj Astronom. – Megazagadka!

– A jak się właściwie nazywa ta planeta wujku? – zapytał Romek.

– To też jest ciekawe – uśmiechnął się wuj. – Szukałem informacji o tej planecie we wszystkich książkach o astronomii i nie mogłem niczego o niej znaleźć.

– Trzeba było poszukać w internecie, w internecie jest wszystko – doradziła Marta.

– W internecie powiadasz? Szukałem i tam, ale uwierz dziecko, nie wszystko tam znajdziesz. Największe mądrości są w książkach, takich prawdziwych, drukowanych.

Mówiąc to, zaświecił małą lampkę, sięgnął ręką do półki, gdzie spoczywały grube tomiska w twardych oprawach i wyciągnął jedną z książek. Położył ją na miniaturowym stoliku obok teleskopu i otworzył na właściwej stronie.

– To bardzo stara książka, w dodatku napisana po łacinie.

– Po jak? – zdumiały się dzieci.

– Po łacinie, to taki język, który kiedyś był tak popularny jak teraz angielski i wtedy pisano książki głównie w tym języku.

– I co w tej książce jest napisane?

– Napisane jest, że jest planeta, którą widzą wszystkie dzieci i tylko niektórzy dorośli. Nazywa się... Planeta Bajek.

– Planeta Bajek?!

– Tak. To planeta na której żyją wszystkie postaci z bajek. Planeta wyobraźni, pomysłów, fantazji, talentów, przygód i wszystkiego po trochu. To tam powstają nowe bajki, których tak lubicie słuchać na dobranoc.

– O rety, chyba już wiem, dlaczego Planeta Bajek zrobiła się szara – zadumała się Marta.

– To chyba ma coś wspólnego z tym, że nasze książki z bajkami zniknęły – dodał Romek.

Wuj Astronom patrzył na nich zdziwiony. Marta jeszcze raz spojrzała przez teleskop.

– Na Planecie Bajek musiało stać się coś złego – powiedziała.

Rozdział 3. Hrabia Don Zielonomicokolwiek

Kiedy leżeli już w łóżkach, długo nie mogli zasnąć.

– Musimy coś zrobić Marta – odezwał się Romek. – Trzeba się dowiedzieć, co się stało na Planecie Bajek.

– Ale jak mamy to zrobić?

– Jeszcze nie wiem ale coś musimy wymyślić. Może się okazać, że Planeta Bajek zniknie, znikną bajki i nasze książki nigdy się nie odnajdą. Wyobrazasz sobie świat bez czytania bajek? Ja nie!

Leżeli tak i rozmawiali o Planecie Bajek, gdy nagle usłyszeli jakieś dziwne szmery dochodzące zza okna. Na zewnątrz było ciepło, okno było uchylone i w blasku księżycy wyraźnie ujrzeni nieduży cień wdrapujący się na okno. Marta nakryła się ze strachu kołdrą. Na parapecie stanął mały człowieczek w kapeluszu. Był wielkości wiewiórki, nie był jednak rudy a zupełnie zielony. Spod kapelusza wystawały mu dziwne różki, niczym u chrząszcza. Miał na sobie przykrótki kubraczek i śmieszne, krótkie spodenki.

– Ciężko się tu dostać do was, dobry wieczór państwu – skłonił się nisko. – Jestem Hrabia Don Zielonomicokolwiek.

– Ja jestem Romek – chłopiec wstał z łóżka i podszedł do okna przyjrzeć się nieznajomemu.

– A ja Marta – powiedziała siostra Romka ale nie odważyła się wstać ze swojego łóżka.

– Bardzo mi miło. To dla mnie zaszczyt – odparł Hrabia Don Zielonomicokolwiek. – Pozwolą państwo, że wyjaśnię cel mojej wizyty.

– Prosimy, prosimy bardzo – Romek usiadł na krześle przy parapecie i gestem zachęcił Martę, żeby wyszła z łóżka.

– Otóż, państwo wybaczą okoliczności, a przede wszystkim późną porę ale czas, czas nagli bardzo, stąd moja niespodziewana wizyta. A więc, hmm, przybywam do państwa prosto z hmm planety, Planety Bajek.

– Planety Bajek?!

– Tak, tak dokładnie, Planety Bajek. To miejsce gdzie...

– ... powstają bajki – przerwała mu Marta.

– Tak, w rzeczy samej młoda damo, jednak, hmm, ośmielam się zauważyć, że nie jest ładnie przerywać komuś wypowiedź, gdyż nie świadczy to dobrze o wychowaniu.

– Och, przepraszam – zarumieniła się Marta.

– Zapewne lubicie państwo słuchać i czytać bajki – stwierdził Hrabia a dzieci skinęły twierdząco głowami. – Właśnie, właśnie, bajki są dla dzieci ale teraz bajki potrzebują pomocy. A właściwie cała Planeta Bajek potrzebuje państwa pomocy, zdarzyły się bowiem u nas rzeczy straszne, by nie powiedzieć... katastrofalne w skutkach.

Hrabia Don Zielonomicokolwiek zamilkł na chwilę, po czym usiadł na parapecie i zwiesił dwie zielone, cienkie nóżki. Marta całkiem już opanowała strach i zdziwienie przysuwając się do brata.

– Więc, drodzy moi, Planetę Bajek dotknęło nieszczęście, wielkie nieszczęście. Skradziono z niej Elementy Powietrza, Wody, Ognia i Ziemi. Elementy te zasilają Drzewo Wyobraźni dzięki któremu bajkopisarze wymyślają bajki dla dzieci. Bez tych czterech elementów Planeta Bajek skazana jest na zagładę a wraz z nią wszystkie bajkowe postaci. Jeśli elementy nie zostaną odnalezione, nasz świat zostanie zniszczony a wraz z nim wszystkie bajki zostaną zapomniane.

– To straszne! – wykrzyknęły dzieci. – Kto mógł ukraść te elementy?

– Nie wiemy z całą pewnością ale domyślamy się, że mógł to zrobić Antygeniusz Wynałazca. To osobistość zazdrosna o czas dzieci.

– Zazdrosna o czas dzieci?!

– W rzeczy samej. Antygeniusz rządzi Cyberplanetą na której wynajduje różne wynalazki, mające odciągać dzieci od książek – wynalazł tam telewizję, komputery, tablety, smartfony i różne inne dziwne zabawki, które sprawiają, że dzieci wolą spędzać czas przy nich, zapominając o bajkach, książkach, nauce, zabawach na świeżym powietrzu i innych pożytecznych rzeczach.

– Czy to aż takie niebezpieczne? Telewizja, komputery, tablety, smartfony? – zapytał niedowierzająco Romek.

– W nadmiarze są niezwykle szkodliwe – odpowiedział Hrabia Don Zielonomicokolwiek. – Wróćmy jednak do rzeczy, bo czas nagli. Cztery elementy mogą odnaleźć tylko dzieci, które kochają bajki, dlatego przybywam do was szanowni państwo – skłonił się raz jeszcze.

– Ale gdzie ich szukać? Na Cyberplanecie? – zapytał Romek.

– Tak nakazuje logika, musimy tam polecieć i odebrać Antygeniuszowi skradzione elementy.

– A jak tam się dostaniemy panie Hrabio?

– Sami zobaczcie – Hrabia Don Zielonomicokolwiek wskazał palcem za okno.

Zaciekawione rodzeństwo wyjrzało na zewnątrz. Na niewielkim pagórku, za domem wujka Astronoma, stała najprawdziwsza rakieta. Lśniła metalicznie w blasku księżyca.

– Nie-wia-ry-godne... – wyszeptał Romek, który zawsze marzył o podróży kosmicznej.

– Jeśli są państwo zdecydowani na udział w tej wyprawie, to serdecznie zapraszam do rakiety.

– Ja jestem zdecydowany! A ty Marta? – spytał Romek.

– No, skoro ty lecisz, to ja też – odparła młodsza siostra.

– Zatem chodźmy! – Hrabia Don Zielonomicokolwiek zeskoczył z parapetu.

Rozdział 4. W rakiecie na Cyberplanetę

Marta i Romek przebrali się szybko i chyłkiem wymknęli się z domu. Razem z Hrabią dotarli do rakiety. W połowie wysokości pojazdu znajdował się właz. Hrabia dotknął metalicznej powłoki rakiety i z włazu natychmiast wysunęła się drabinka. Wdrapali się na nią całą trójką i wkrótce byli już we wnętrzu. Hrabia zasiadł przy pulpicie sterowniczym a obok niego usadowiły się dzieci. Rodzeństwo zapięło pasy i ciekawie się rozglądało. Wnętrze pojazdu nie było zbyt duże, miało za to pełno okienek dookoła, dzięki czemu można było oglądać wszystko, co dzieje się na zewnątrz. Hrabia uwijał się przy różnego rodzaju

przełącznikach, przyciskach, ekranach i kolorowych lampkach. Po kilku chwilach zaczął odliczać.

– 10... 9... 8... 7...

Rakieta zadrżała gdzieś na dole...

– 6... 5... 4...

Dzieci usłyszały jakby pomruk wielkiego wodospadu...

– 3... 2... 1... Start! – krzyknął Hrabia i w tym samym momencie statek kosmiczny drgnął i oderwał się od ziemi.

Przez iluminatory widać było dom wujostwa. Dzieciom wydawało się, że przy teleskopie tkwił zdumiony wuj Astronom, patrzący na raketę wzbijającą się w niebo. Dom stawał się jednak coraz mniejszy i mniejszy, a w końcu zniknął zupełnie. Widzieli z góry całe miasta rozświetlone przez nocne światła a potem niespodziewanie oślepiło ich słońce po drugiej stronie Ziemi.

– Jesteśmy już w kosmosie, na ziemskiej orbicie – poinformował ich Hrabia. – Kierunek na Portal Międzyplanetarny.

– Portal? – zdziwił się Romek.

– Tak. Wlecimy w portal, dzięki czemu podróż na Cyberplanetę zajmie nam tylko kilka chwil. Gdybyśmy lecieli zwykłą drogą, to podróż zajęłaby nam kilka lat.

– Mama nam czytała o portalach kosmicznych – pochwaliła się Marta.

– Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę – zdumiał się Romek, gdy zaczęli się zbliżać do błękitnego pierścienia zawieszzonego w kosmicznej pustce.

Rakieta zbliżyła się do portalu, po czym zniknęła w nim jak okruch znikający w rurze odkurzacza. Dzieciom zdawało się, że gwiazdy rozmywają się niczym białe świetliste smugi i nagle ich oczom zupełnie niespodziewanie ukazała się Cyberplaneta. Wyglądała... sztucznie. Nie było jednak czasu na to, żeby przyjrzeć się jej zbyt dokładnie.

– Mamy gości – powiedział Hrabia wskazując na kilka świetlistych obiektów lecących w ich kierunku.

Na głównym ekranie pulpitu sterowniczego pojawiła się głowa jakiegoś robota.

– Identyfikacja – powiedział robot.

Hrabia nie odpowiedział. Włączył procedurę lądowania i zaczęli zniżanie.

– Podaj identyfikację, co to za rakieta? – nalegał robot.

– Uszkodzenie, uszkodzenie, prosba o bezpieczne lądowanie – powiedział Hrabia do ekranu.

Świetliste obiekty dotarły do rakiety i krążyły wokół niej niespokojnie. Dzieci z napięciem wyczekiwały co będzie dalej. Rakieta zniżała się bez przerwy. Główny ekran znów się zaświecił ale tym razem zamiast robota pojawiła się zaciemniona twarz.

– Nie macie żadnego uszkodzenia i właściwie powinienem was zestrzelić ale niech tam. Dawno nie miałem tu żadnej rozrywki, możecie lądować.

Kiedy wylądowali na płycie kosmodromu i wysiedli, natychmiast otoczyło ich kilkanaście robotów. Poprowadzono ich od razu do siedziby Antygeniusza Wynalazcy. Władca Cyberplanety siedział na dużym obrotowym fotelu. Był małym człowieczkiem o przenikliwym spojrzeniu i sześciu palcach u każdej ręki. Głowę miał wielką i łysiejącą a całości dopełniał obcisły kombinezon opinający go od stóp do szyi.

– Co was sprowadza w moje gościnne progi? – zapytał szyderczo Antygeniusz.

Hrabia Don Zielonomicokolwiek nie odezwał się, więc głos zabrał Romek.

– Przylecieliśmy do ciebie, żeby prosić o zwrot Czterech Elementów, które ukradłeś z Planety Bajek.

– Och, cóż za tupet! Ukradłeś, ukradłeś... – przedrzeźniał Romka. – Ja ich wcale nie ukradłem tylko... wypożyczyłem – roześmiał się nieprzyjemnie.

– Wypożyczyłeś? A po co ci one?

– Widzicie moi kochani, jestem wynalazcą a do wynalazków potrzeba odrobiny pomysłu czy jak to się też nazywa... kreatywności. Niestety ostatnio nie przychodziło mi zupełnie nic do głowy. Męczyłem się strasznie, nie miałem żadnych pomysłów na nowy wynalazek. I wtedy pomyślałem, że mógłbym skorzystać ze źródelka pomysłów, które było na Planecie Bajek. Zamiar bezzwłocznie wprowadziłem w czyn!

– Ale bez Czterech Elementów Planeta Bajek umiera! – krzyknęła Marta.

– To nie ma dla mnie żadnego znaczenia – zachnął się Antygeniusz. – Ja chciałem stworzyć super-zabawkę, która wypełniłaby całkowicie czas dzieci. Gdyby mi się udało to bajki byłyby zupełnie niepotrzebne, Planeta Bajek i tak nie miałaby po co istnieć, rozumiesz?

Antygeniusz wstał z fotela i okazało się, że jest niewiele większy od Hrabiego Don Zielonomicokolwiek. Zaczął chodzić w tę i z powrotem wymachując rękoma.

– Telewizor, komputer, smartfon i tablet, konsola do gier, osobisty robot. A gdyby tak połączyć te wszystkie zabawki!?! Dzieci miałyby zajęcie przez cały dzień, bo wszystkie rozrywki i przyjemności byłyby w tym jednym, jedynym urządzeniu! Dlatego zbudowałem wielki Generator Wynalazków a do zasilania potrzebne mi były tylko Cztery Elementy z waszej bajkowej planety...

Antygeniusz nabrał głęboko powietrza i nagle, zupełnie niespodziewanie... rozplakał się.

– Niestety, wszystko na nic! Nie udało się! Nie stworzyłem superwynałazku...

– I bardzo dobrze! Chciałeś zabrać dzieciom czas, który powinny spędzać w bardziej pożyteczny sposób! – powiedziała Marta.

– Oddaj nam elementy, musimy je zawieźć na Planetę Bajek! – zażądał Romek.

– Nie mam ich... – łkał Antygeniusz.

– Jak to nie masz?!

– Zostały zniszczone podczas tworzenia supergadżetu. Nic z nich nie zostało....

– Jesteśmy zgubieni... – jęknął Hrabia Don Zielonomicokolwiek i były to jego jedyne słowa wypowiedziane na Cyberplanecie.

Płaczliwy Antygeniusz Wynalazca nie bronił im zupełnie opuszczenia Cyberplanety. Przeżywał jeszcze swoje niepowodzenie. Hrabia był jeszcze bardziej przybity od Antygeniusza.

– Planeta Bajek wkrótce zostanie zapomniana. A wraz z nią wszystkie postaci z bajek – powiedział, gdy byli już na orbicie.

– Nie martw się Hrabio, może jest jakiś sposób... Przecież Cztery Elementy nie wzięły się znikąd. Może uda się je odtworzyć.

– To może wiedzieć tylko opiekun Drzewa Wyobraźni, ja nie mam pojęcia czy to możliwe.

– Lećmy więc na Planetę Bajek!

Rozdział 5. Na bajkowej planecie

Planeta Bajek była dokładnie taka, jak ją widzieli jeszcze niedawno przez teleskop wujka Astronoma. Szara i ponura. Za to tysiąc razy większa niż ją było widać z Ziemi. Hrabia Don Zielonomicokolwiek zaczął przygotować raketę do lądowania. Pokazywał dzieciom kolejność włączania przycisków aby bezpiecznie wylądować. Ta wiedza mogła im się wkrótce przydać.

Gdy rakietę stanęła na powierzchni bajkowej planety, Hrabia uśmiechnął się do dzieci.

– Jesteśmy na miejscu mili państwo. Możemy wysiadać. Ale pamiętajcie, że teraz wszystko będzie już w waszych rękach.

Gdy zeszli na ziemię, wokół nich zaroilo się zaraz od dziwacznych postaci: krasnoludków, gnomów, zakutych w zbroje rycerzy, dam dworu, wróżek, elfów, zwierząt, ptaków, gryfów,

jednorozców, smoków i tym podobnych bajkowych postaci. To, co najbardziej jednak wprawilo w zdumienie Martę i Romka, to kolory a właściwie zupełny ich brak. Wszystkie postaci były szare, nawet Czerwony Kapturek miał szarą chusteczkę. W dodatku kręciły się beładnie i bez żadnego celu.

– Widzicie, to jeden z efektów kradzieży elementów – odezwał się Hrabia Don Zielonomicokolwiek stając obok Marty i Romka.

Dzieci patrzyły z zaciekawieniem na Hrabiego. Jego cienkie nóżki zaczęły tracić zielony kolor i robiły się zupełnie szare. Szarość wędrowała po ciele Hrabiego z dołu do góry. Przewodnik dzieci, widząc tę zmianę, zaczął mówić bardzo szybko.

– Nie macie czasu do stracenia. Kierujcie się do Drzewa Wyobraźni. Drzewo rośnie na wyspie Jeziora Bez Dna – o tam! – Hrabia wskazał ręką przed siebie a ta była już całkiem szara. – Na jeziorze jest wyspa. Tam spotkacie Opiekuna. Na jeziorze jest wyspa. Na jeziorze... wyspa jest... wyspa... jeziorze jest ... jest... jest ...est... opie kun...

Hrabia zamilkł. Był zupełnie szary.

– Jak dotrzemy na wyspę Hrabio? – zapytała Marta. – Hrabio! – potrząsnęła nim ale Hrabia zupełnie nie reagował. Popatrzył na nią błędnymi oczyma i zaczął chodzić do przodu i do tyłu, w kółko, zupełnie bez sensu – podobnie jak inne szare postaci.

– To na nic – powiedział Romek. – Stracił kolory, a z kolorami rozum. Teraz wszystko zależy od nas. Sami musimy sobie poradzić.

Rodzeństwo wzięło się za ręce i wyruszyli w kierunku, który wskazał im Hrabia, nim stracił świadomość. Czas na Planecie Bajek biegł jakoś inaczej, dlatego trudno im było określić czy szli długo czy krótko. W końcu stanęli nad brzegiem Jeziora Bez Dna. Woda w jeziorze była gładka niczym powierzchnia lustra. Nie mącił jej nawet najlżejszy wietrzyk. Była zupełna cisza a nad wodą unosiła się mgła. Przy brzegu stała łódka, tak jakby czekała na Martę i Romka.

– Wsiadamy, łap za jedno wiosło a ja za drugie – zakomenderował Romek.

Wiosłowanie szło im na początku trochę niezdarnie ale po jakimś czasie nabrali wprawy i łódka dość szybko poruszała się do przodu. Słychać było tylko plusk zanurzanych w wodzie wiosel.

– Bolać mnie już ręce, jak długo będziemy jeszcze wiosłować? – zapytała czerwona z wysiłku Marta.

Ledwie powiedziała te słowa, mgła ustąpiła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki a ich oczom ukazało się olbrzymie, niewyobrażalnie potężne drzewo wyrastające z wyspy na środku jeziora. Korzenie splecione i powywijane niczym monstrualne węże, pokrywały całą wyspę. Pień gruby jak wieżowiec piął się w górę, po czym rozgałęział się na konary, grube gałęzie, gałązki i gałązeczki, tworząc ogromną koronę. Gałązki pokryte były zielonymi listkami a z niektórych sterczały zwiędnięte kielichy kwiatów.

Łódka dobiła do brzegu. Dzieci wyskoczyły na ląd i zaczęły wdrapywać się na korzenie drzewnego olbrzyma. Z początku stąpali ostrożnie, zaraz jednak zorientowali się, że korzenie nie są twarde jak u innych drzew a zupełnie miękkie, niczym nadmuchane balony. Marta pierwsza zaczęła bujać się na wielkim korzeniu a ten uginał się pod nią niczym trampolina.

– Ale świetna zabawa! – zawołała. – Zobacz Romek! – odbiła się mocno i poszybowała wysoko, opadła na drugi korzeń a ten odbił ją niczym piłkę od ping-ponga i Marta poszybowała tak wysoko, że niemal dotknęła najniższych gałązek drzewa.

Romek poszedł w jej ślady i też zaczął skakać a w końcu oboje odbili się tak mocno, że wylądowali na jednym z konarów.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak ogromnego drzewa, jest chyba większe od największych wieżowców w Warszawie – stwierdził Romek a Marta zgodziła się z nim skinieniem głowy.

– Zobacz, w pniu jest jakaś dziupla – powiedziała.

Przeszli konarem szerokim na kilka metrów do pnia. Niestety, Marta potknęła się o jakiś wystający sęk i dała nura wprost w czarną czeluść dziupli. Romek chciał ją złapać ale nie zdążył i wpadł do dziupli razem z siostrą.

Rozdział 6. W Drzewie Wyobraźni

Zdawało im się, że spadają z jakąś oszałamiającą prędkością do studni bez dna. Krzyżąc ze strachu spadli na coś w rodzaju pochyłej, krętej zjeżdżalni. Zjeżdżali tak i zjeżdżali a w końcu wpadli do wielkiej balii pełnej ... kukurydzianych chrupek.

– Pyszności – powiedziała Marta, która uwielbiała zajadać chrupki.

– Całkiem niezłe – zawtórował jej Romek nabierając garściami chrupki i wpychając je sobie do buzi.

– Co za brak wychowania! – rozległo się nagle. – Na Ziemi was nie uczą, że niegrzecznie jest napychać sobie buzię chrupkami? W dodatku siedząc w misce?

– Co to? Kto to? – pytały dzieciaki gramoląc się z wielkiej miski.

– Mysz Ryż a Kysz! – zapiszczał głosik gdzieś pod nogami. – Jestem opiekunem Drzewa Wyobraźni.

– Ja jestem Marta!

– A ja Romek!

– Więc to wy. Nareszcie, ile można na was czekać? – zagderała Mysz Ryż a Kysz.

– Zdawało nam się, że przybyliśmy tu dość szybko... – nieśmiało zaoponował Romek.

– Nie dyskutować! Za mną maszerować! – rozkazała mysz.

Dzieci posłusznie podążyły za nią.

– Czy Mysz Ryż a Kysz jest postacią z bajki? – zapytała Marta.

– Bajki jałki tałałajki myszka jest postacią z bajki! – odparła przewodniczka.

– Więc czegoś tu nie rozumiem, potrafisz mówić i zachowujesz się całkiem, hmm, normalnie. A wszyscy inni na planecie zrobili się szarzy i potracili rozumu...

– To proste, jestem szara Mysz Ryż a Kysz, więc nie mogłam stracić koloru. Nie straciłam koloru, nie straciłam rozumu. Tędy! – mysz skręciła w jeden z korytarzy i po chwili znaleźli się w obszernej, kwadratowej sali.

– To tutaj. Sala Tworzenia. Widzicie te wnęki? W każdej był jeden element. Dostarczały do czterech korzeni soki którymi żywiło się Drzewo Wyobraźni. Dzięki tym sokom drzewo kwitło a jego zapach roznosił się po całej Planecie Bajek ożywiając bajkowe postaci. W nieznanym bliżej sposób, bajkowa energia naszej planety docierała do Ziemi. Dzięki temu pamięć o bajkach była podtrzymywana a bajkopisarze mogli wymyślać nowe historie dla dzieci. Teraz kwiaty zwiędły i opadły, zapach rozwiął wiatr. Szarzeją bajkowe postaci, bo dzieci na Ziemi zaczynają o nich zapominać.

Marta i Romek rozglądali się uważnie po całej sali. We wnękach stały tylko szklane, puste butelki.

– Okazało się, że Cztery Elementy zostały zniszczone na Cyberplanecie. Czy jest jakiś sposób, żeby można było je odtworzyć? – zapytał Romek.

– Tak, jest taki sposób. Elementy zasilające Drzewo Wyobraźni pochodziły z czterech innych planet: Powietrza, Wody, Ognia i Ziemi.

– Cztery żywioły! – krzyknęła Marta. – Wujek Astronom nam o nich opowiadał, pamiętasz?

– Pewnie, że pamiętam. A jak właściwie wyglądały te elementy? – Romek zwrócił się znów do opiekuna Drzewa Wyobraźni.

– To nie ma znaczenia jak wyglądały. Kiedy je zobaczycie, na pewno będziecie wiedzieć, że to właśnie one.

– A jeśli się nie poznamy?

– To Planeta Bajek przestanie istnieć.

– Może nam coś doradzisz myszko, jak szukać, czym się kierować?

– Używajcie WYOBRAŹNI a wtedy na pewno odnajdziecie Cztery Elementy.

Dzieci zabrały puste butelki, opuściły szarą Mysz Ryż a Kysz, Drzewo Wyobraźni, Jezioro Bez Dna i udały się w stronę rakiety.

Rozdział 7. Element Powietrza

Planeta Powietrza tkwiła tuż na wysokości ich nosów. Rakieta opuszczała się delikatnie w jej przezroczyste objęcia... Marta i Romek zamknęli oczy. Kiedy je otworzyli siedzieli w wielkim, wiklinowym koszu uczeponym do balona. Oboje czuli się bardzo dziwnie i nieswojo. Nigdzie nie było widać ładu. Na dole, pod koszem, wirowały błękitne chmury, ponad nimi tańczyły białe chmurki. Romek z Martą nie potrafili nawet określić kierunku w którym leci ich balon, bo chmury na dole przesuwały się w jedną stronę, a te u góry – w przeciwną. Romkowi patrzącemu do góry zdawało się, że balon leci w lewo. Marcie patrzącej na dół wydawało się, że balon leci w prawo. Kiedy spojrzeli przed siebie, mieli nieodparte wrażenie, że balon stoi w miejscu.

– Jak my znajdziemy ten Element Powietrza? Przecież tu nic nie ma, tylko ... powietrze i chmury, nawet nie ma gdzie wylądować, bo nie ma ładu... – zastanawiał się Romek.

– Coś tam widać! – krzyknęła niespodziewanie Marta wskazując palcem przed siebie.

– Nic nie widzę... – wytrzeszczał oczy Romek.

– Zobacz, takie czarne punkty.

Romek zobaczył. Punkciki były małe, ciemne i na pewno się poruszały. Wkrótce całe niebo nad nimi i pod nimi przykryła ciemna chmura złożona z tych przemykających błyskawicznie punktów. Dał się przy tym słyszeć jakiś okropny szum który docierał do nich ze wszystkich stron. Marta zamknęła oczy i zatkała sobie uszy.

– Marta, to są ptaki! To ptaki! – krzyczał Romek ściskając ją za ramię.

Dziewczynka otworzyła oczy. Rzeczywiście. To były tysiące, setki tysięcy, miliony małych ptaszków! Latały we wszystkie strony a szum ich skrzydeł i popiskiwanie powodowały ten wielki hałas, który tak na początku wystraszył Martę. Nagle coś puknęło w powłokę balonu a potem spadło prosto do kosza, pod stopy Marty i Romka. Ptaszek. Marta wzięła go ostrożnie i zaczęli mu się przyglądać. Ptak był malutki i leciuteńki, dziewczynce zdawało się, że ledwie wyczuwa jego ciężar.

– On chyba nie żyje – stwierdził Romek.

– Żyje, żyje – odezwał się ptaszek, otwierając jedno a potem drugie oko. – Na wszystkie jerzyki ale grzmotnałem...

– Na wszystkie co? – zapytała Marta.

– Wszystkie jerzyki, nie wiecie co to jerzyki?

– To tutaj są jeże??? – zdziwiła się dziewczynka. – Na planecie bez ziemi?

– Jakie znowu jeże? Nie jeże tylko jerzyki. Ja jestem jerzykiem. My wszyscy jesteśmy jerzykami.

– A gdzie wy mieszkacie, gdzie odpoczywacie, jak śpicie?

– Jak to gdzie? Tutaj. Nasze życie to latanie. Mieszkamy w powietrzu, śpimy w powietrzu, odpoczywamy w powietrzu.

– A może wiesz, gdzie możemy znaleźć Element Powietrza? – wtrącił Romek.

– Element Powietrza? Nie wiem, co to takiego. Muszę już lecieć, nie jestem przyzwyczajony do bezruchu.

Jerzyk rozłożył skrzydła, wzbił się w powietrze i wkrótce wmieszał się w przelatujący tłum innych ptaków. Wkrótce ostatnie ptaszki przemknęły obok nich, szybko zmieniły się w czarne punkciki i zniknęły.

Marta schyliła się i podniosła coś z dna kosza. Romek pochylił się nad nią ciekawie. Marta trzymała w rękach malutkie, ptasie piórko.

– Element Powietrza – wyszeptła uroczyście.

Rozdział 8. Element Wody

Planeta Wody błyszczała niczym wielka kropla zawieszona gdzieś w przestrzeni. Nie widać było na niej nawet jednego skrawka lądu. Wszędzie tylko woda, woda i woda. Woda na dole, woda u góry, woda po bokach... Tylko w batyskafie, na szczęście, wody nie było. Wielka szklana bańka w której siedziało rodzeństwo, umożliwiała rozglądanie się prawie na wszystkie strony. Romek szybko opanował sterowanie batyskafu, który szybko zanurzał się w głębinach. Wkrótce zaczęło robić się ciemno, bo woda przepuszczała coraz mniej słonecznego światła. Marta włączyła reflektory. Podobnie jak na Planecie Powietrza, tak i tu nie mieli żadnego planu. Postanowili więc dotrzeć do dna oceanu i tam prowadzić poszukiwania. Opadali tak i opadali, aż w końcu, w świetle reflektorów dostrzegli dno. Było ciemne, gdzieniegdzie poprzątkane nieregularnymi plamami. Batyskaf dotknął dna w dolinie pomiędzy dwoma podwodnymi wzgórzami. Światła omiały dokładnie najbliższą okolicę. Wyglądało na to, że dno stanowi gładka skała, bo batyskaf osiadając, nie zmaścił w ogóle wody.

– I co teraz? – zapytała Marta. – Nic tu nie ma ciekawego do oglądania.

– Masz rację, popłyniemy tuż przy dnie, może na coś natrafimy.

Romek poderwał batyskaf i skierował go w stronę jednego z pagórków. Opłynęli go dookoła ale nie było w nim nic nadzwyczajnego. Ot, zwyczajny podwodny pagórek.

– Romek daj pokierować batyskafem – poprosiła Marta.

– A kieruj sobie – Romek oddał jej stery.

Marta dodała gazu i batyskaf pomknął dość szybko w stronę pagórka. Zorientowała się, że zrobiła to zbyt gwałtownie i chciała zahamować ale nie zdążyła. Batyskaf siłą rozpędu uderzył szklaną bańką we wznesienie. I wtedy stała się rzecz bardzo dziwna. Batyskaf odbił się od pagórka jak od wielkiej gumowej piłki. Po sekundzie stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Pagórek zrobił się zupełnie biały. Właściwie to niezupełnie, bo pośrodku została sporych rozmiarów czarna plama.

– Wiesz co, Marta? Chyba wpadliśmy komuś do oka.

Marta od razu zorientowała się, co jej brat ma na myśli. To, jak myśleli wcześniej, dno morskie, było niczym innym jak cielskiem jakiegoś niewyobrażalnie wielkiego, morskiego stwora. Wzgórza były jego ślepiami, jedno z nich właśnie im się przyglądało.

– Lepiej stąd spływajmy! Masz, ty się bardziej znasz na sterowaniu! – Marta szybko ustąpiła bratu miejsca przy sterze.

Romek nacisnął gaz, skręcił ster i przemknął obok ciekawskiego oka. Zaczęli się jednocześnie wynurzać z głębin. Marta skierowała reflektory w dół i ujrzeli monstrum w całej okazałości. To była płaszczka wielka jak lotnisko. Oszołomiona stuknięciem w oko, a potem nagłym zniknięciem intruzów tkwiła jeszcze przez jakiś czas nieruchomo a potem ruszyła na poszukiwanie zbiegów.

– Ona się za nami wynurza Romek! Gaz do dechy!

– Robię co mogę!

Wynurzyli się już na tyle, że w wodzie zrobiło się jasno i reflektory były już niepotrzebne, żeby obserwować to, co dzieje się pod nimi. A pod nimi ciemniał kształt wynurzającej się szybko płaszczki. Batyskaf wreszcie wypłynął na powierzchnię i oślepiła ich jasność słońca. Ale nie tylko słońca. Z wody zaczęły wyskakiwać tysiące dużych i mniejszych ryb wystraszonych przez płaszczkę. Wyskakiwały wysoko, błyszcząc w jasnym świetle jak setki srebrnych luster. Jedna z ryb uderzyła o banię batyskafu zostawiając na szybie piękną, złotą łuskę. Promienie słoneczne załamywały się w niej jak w pryzmacie i rzucały na Romka i Martę tęczową poświatę. Dzieci wpatrywały się w nią jak zaczarowane, zupełnie zapominając o tym, że jeszcze przed chwilą uciekały przed wodnym potworem. Ryby zresztą przestały już wyskakiwać z wody, co oznaczało, że płaszczka zrezygnowała z pościgu i zanurzyła się z powrotem w głębiny. Romek ostrożnie wyszedł z batyskafu i delikatnie odczepił łuskę od szyby. Wrócił do kabiny i wyciągnął pustą butelkę z plecaka.

– Element Wody – powiedział uradowany, gdy łuska znalazła się już w butelce.

Rozdział 9. Element Ognia

Planeta Ognia nie wyglądała jakoś tak bardzo „ogniście”. Dzieci obawiały się tam lecieć, bo skoro Planeta Powietrza składała się z powietrza a na Planecie Wody była tylko woda, to należałoby się spodziewać, że na Planecie Ognia będzie tylko ogień. Kiedy jednak rakieta zbliżała się do celu nie było tam widać nawet najmniejszego płomyka. Gdy lądowali, jedynym ogniem był ich własny płomień – z silnika rakiety.

– Tu nie ma żadnego ognia – zdziwiła się Marta, gdy dotknęli stopami twardej skały. – Tylko skały, nic więcej.

– Ale te skały są jakieś dziwne. Czarne, twarde i takie jakby szkliste... Musimy rozejrzeć się po okolicy.

Za kierunek obrali górę mającą w oddali. Szli ostrożnie bo skały były śliskie i można się było wywrócić. Szli już dłuższy czas a góra nie zbliżyła się nawet na jotę.

– To nie ma sensu Marta. Na piechotę nigdy tam nie dojdziemy. Wracajmy lepiej do rakiety. Założymy turboplecaki i przelecimy nad okolicą w kilka chwil zamiast męczyć się na tych skałach.

Dziewczynka przyznała Romkowi rację. Chodzenie po skałach było niezbyt bezpieczne, już lepiej założyć turboplecak. Zawrócili więc a kiedy tak szli, na brunatne niebo zaczęła wschodzić wielka tarcza sąsiedniej planety. I wtedy się zaczęło. Skały pod ich stopami jakby ożyły. Zewsząd zaczęły dochodzić niepokojące pomruki i westchnienia.

– To nie wróży nic dobrego, musimy się pospieszyć! – powiedział zaniepokojony Romek.

Nie było to jednak wcale takie proste. Pośpiech groził upadkiem, stłuczeniem kolana albo złamaniem ręki. Wracali więc do rakiety w podobnym tempie jak dotychczas. Kiedy planeta sterczała już na niebie w całej okazałości, wstrząsy nasiliły się, a za nimi rozległ się straszliwy grzmot. Dzieci obejrzały się za siebie i zobaczyły, że góra do której wcześniej zmierzali, wybuchła. Słup ognia i dymu unosił się wysoko do góry a cała okolica pojaśniała od blasku wypływającej z góry lawy.

– O rety, to wulkan!

– Szybciej! Do rakiety!

Na wybuchu wulkanu jednak się nie skończyło. Skalna skorupa pod nimi zaczęła pękać a w szczelinach pojawiła się gorejąca lava. Rakieta była już bardzo blisko gdy nagle przed nimi utworzyła się kolejna szczelina. Romek biegł pierwszy i przeskoczył ją z rozpędu ale Marta przestraszyła się i zatrzymała.

– Skacz, szybko!

– Nie dam rady!

Szczelina szybko rozszerzyła się i Marta została sama na unoszącej się po płynnej lawie skalnej krze. Romek podjął błyskawiczną decyzję.

– Nic nie rób! Wrócę po ciebie!

Dotarł szybko do rakiety, założył turboplecak i dokładnie pozaciskał wszystkie pasy. Pośpiech był wskazany ale musiał zrobić wszystko dokładnie bo gdyby zapięcia się poluzowały, turboplecak mógłby odfrunąć ale... bez niego. Widział kątem oka Martę tuż nad krawędzią skalnej kry. „Co ona robi, żeby tylko się nie ześlizgnęła!” – tysiące myśli przelatywały mu przez głowę. W końcu uporał się z zapięciami i odpalił. Skały wokół rakiety także zaczęły pękać i zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Romek wzniósł się lekko w powietrze i skierował wprost w kierunku Marty. Skała na której siedziała dziewczynka była już bardzo mała i niebezpiecznie się przechylała. Romek podleciał do niej tak blisko żeby mogła uwiesić mu się na szyi. Nie mógł jej złapać rękoma bo musiał sterować turboplecakiem.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął głośno a Marta złapała go za szyję.

Odlecieli w ostatnim niemal momencie. Skała wywróciła się i zaraz pograżyła z ognistym sykiem w bulgoczącej lawie. Romek wleciał wprost w otwarty właz rakiety. Marta zeskoczyła na podłogę, chłopiec odrzucił turboplecak i natychmiast zaczął uruchamiać raketę. Dziewczynka siadła obok i bez słowa zaczęła mu pomagać. Uruchomienie rakiety nie jest wcale takie proste. Trzeba poprzelaczać mnóstwo przycisków, pokręteł, zaświecić pełno lampek i ekranów. Ale to nie był ich pierwszy lot jak wtedy z Hrabią Don Zielonomicokolwiek. Każde wiedziało co ma robić. Wyczuwali, że rakieta chwieje się niebezpiecznie na coraz bardziej drżącym gruncie. W końcu Romek zaczął odliczać i zdawało im się, że od dziesiątki do jedynki upłynęła cała wieczność. Jednak udało się! Silnik zamruczał, buchnął snop iskier spod spodu i rakieta delikatnie oderwała się od niestabilnej powierzchni. Gdy wznieśli się na bezpieczną wysokość, mogli przyjrzeć się spokojniej temu, co działo się na Planecie Ognia. Zmieniła się nie do poznania. Jasnopomarańczowe połączenie lawy połykały ostatnie, ciemne, skalne plamy. Kiedy dotarli na orbitę, odpięli pasy i mocno się uściskali.

– Jesteś wspaniałym bratem, dziękuję – powiedziała Marta.

Romkowi zaświeciły się gwiazdki w oczach.

– Najważniejsze, że wyszliśmy z tego cało. Niestety, nie wykonaliśmy zadania. Teraz już tam nie wylądujemy – posmutniał.

Marta bez słowa sięgnęła po swój mały plecak i wyciągnęła z niego świecąca dziwnym blaskiem butelkę. W środku skwierczał wesoło rozpalony, skalny okruch.

– Wiesz, nie czekałam beczynnym na ratunek, tylko wykonywałam zadanie kiedy ty się tam guzdrałeś z turboplecakiem – roześmiała się.

Romek oniemiał z przejęcia. Wpatrywał się zachwycony w butelkę trzymaną przez siostrę.

– Element Ognia – wyszeptał zafascynowany.

Rozdział 10. Zakończenie

Dzieciom został do skompletowania ostatni element. Czwarty element należało przywieźć z Planety Ziemi. Gdy znaleźli się na orbicie, długo wpatrywali się w błękit oceanów, białe smugi chmur i różne kolory kontynentów.

– To najpiękniejsza planeta jaką w życiu widziałam – powiedziała Marta a Romek całkowicie się z nią zgadzał.

Wylądowali na jakiejś polanie, gdzieś na północy Europy. Poszli w stronę lasu i nie szukali zbyt długo. Pod rozłożystym dębem przykucnęli obok leżącego w trawie kielkującego żołądka. Uczepił się już małym korzonkiem piasku a górą wypuścił zielony pęd z którego rozwinął się pierwszy zielony listek. Romek wziął go delikatnie w ręce i umieścił w butelce.

– Element Ziemi – powiedzieli oboje.

Podróż z Ziemi na Planetę Bajek przebiegła bez żadnych problemów. Pokonali rakieta tę samą drogę, wylądowali wśród szarych postaci z bajek, przepłynęli łódką przez Jezioro bez Dna i dotarli do Drzewa Wyobraźni. W końcu znaleźli się w Sali Tworzenia w której czekała na nich Mysz Ryż a Kysz.

Marta z Romkiem uroczyście wyciągali butelki z plecaków. Wkrótce Cztery Elementy znalazły się przed opiekunem Drzewa Wyobraźni. Mysz Ryż a Kysz uważnie przyglądała się każdej butelce i w zadumie kiwała głową. Potem spojrzała na dzieci i zdało im się, że w jej czarnych oczach błyszczą dwie, wielkie, rozedrgane gwiazdy.

– Połóżcie butelki we wnękach – poprosiła.

Kiedy dzieci umieściły czwartą butelkę w odpowiedniej wnęce, wszystkie cztery naczynia pojaśniały błękitnym blaskiem a sala wypełniła się magiczną poświatą. Z butelek zaczęły powoli wypływać soki, które trafiały wprost do korzeni Drzewa Wyobraźni. Kiedy tylko wyszli z wnętrza drzewa, poczuli intensywny zapach kwiatów. Drzewo Wyobraźni zakwitło. Mysz Ryż a Kysz odprowadziła dzieci na brzeg wysepki.

– Dziękuję wam w imieniu wszystkich mieszkańców Planety Bajek. Myślę, że wyświadczyliście też przysługę wszystkim dzieciom na Ziemi.

– Och, my po prostu bardzo lubimy bajki, każde dziecko na naszym miejscu zrobiłoby to samo – powiedział skromnie Romek a Marta pogłaskała Mysz Ryż a Kysz na pożegnanie.

Już mieli wsiadać do łodzi kiedy na niebie pojawiły się dwa skrzydlate smoki, które wkrótce usiadły tuż przy całej trójce.

– To taka mała atrakcja na zakończenie waszej wizyty na Planecie Bajek – uśmiechnęła się Mysz Ryż a Kysz.

Dzieci wsiadły na smoki i już po chwili szybowały uczepione ich grzbietów. Smoki zrobiły kilka kółek nad Jeziorem Bez Dna, po czym wylądowały w pobliżu rakiety. Tutaj przywitał ich Hrabia Don Zielonomicokolwiek, który był bardziej zielony niż kiedykolwiek.

– Ehhkkeh, szanowni państwo, to dla mnie nieopisany zaszczyt... nieopisany... – zaczął się płatać a potem zwyczajnie się rozplakał.

Kolorowy tłum krasnoludków, gnomów, zakutych w zbroje rycerzy, dam dworu, wrózek, elfów, zwierząt, ptaków, gryfów, jednoroźców, smoków i tym podobnych bajkowych postaci zaczął wiwatować i krzyżeć z radości na cześć Romka i Marty. Nawet Czerwony Kapturek podskakiwał radośnie bo jego chusteczka znowu była czerwona.

Hrabia don Zielonomicokolwiek zaprosił Romka i Martę do rakiety. Byli tak bardzo zmęczeni tymi wszystkimi przygodami, że zaraz po starcie zwyczajnie zasnęli. Spali tak przez całą podróż na Ziemię i do dzisiaj trudno im powiedzieć jak to się stało, że rano obudzili się w swoich łózkach. W dodatku nie w domu wuja Astronoma a w ich własnym.

Rozejrzeli się po pokoju rozespani i zaskoczeni. Marta położyła rękę na ramieniu Romka i skinęła głową na półkę. Półka ugięła się od książek z bajkami.

Planeta Bajek, 2015